

**CO ŁĄCZY  
CLINTONA, BUSHA  
I TRUMPA Z PUTINEM**

# NOWA MOSKWA W WASZYNGTONIE

**D**emokraci i Republikanie w rzadkim przejawie jedności narodowej dostali bika na punkcie Rosji. Niestety, mają go z mylnych przyczyn i zaglądnęli w niewłaściwe miejsca.

Demokraci skupiają się na wyborach. Tłumaczą, że kraj funkcjonował znakomicie do chwili, kiedy Putinowi udało się za pomocą fake newsów i hakerów zapchać urny wyborcze głosami na Donalda Trumpa. Gdyby nie to, wszystko byłoby super.

Republikanie chronią oskarżonego o koneszchty z Rosjanami prezydenta, więc wbrew swojemu DNA przekształcili się w grupę pozbawionych kręgosłupa „rozumiejących” Rosję. I wyglądają na bardzo zaskoczonych pelzającą rufyfikacją ich ukochanej Ameryki - chociaż od dziesięcioleci mieli ją tuż przed oczami.

Chociaż Trump obwinia o wszystko, co w Ameryce nie działa, inne narody, wszystkie składowe tego gnicia są całkowicie domorosłe. Rufyfikacja to pojęcie klucz pozwalające dobitniej opisać i zilustrować zjawisko sięgające dekadę wstecz. A chodzi o zdumiewająco dwupartyjne i zdumiewająco systematyczne pomijanie interesów i potrzeb klas pracujących, czego najprostszym i najbardziej wymownym dowodem jest to, że mediana wynagrodzeń w Stanach nie wzrosła od 1979 roku.

Ta grupa wyborców nigdy nie czuła się w Partii Republikańskiej, ale również Demokraci w coraz większym stopniu lekceważyli robotników jako podstawowych wyborców. Trend rozpoczął się wraz z przejściem partii przez Clintonów na początku lat 90. Oddaleni od realiów pozbawionego godnego dochodu i świadczeń dużego segmentu społeczeństwa Demokraci i Republikanie zjednoczyli się w reklamowaniu przynależności robotników i zawodów usługowych do klasy średniej, co rusz sięgając po metaforę Kennedy'ego o „rosnącej fali przypływu”.

Nie trzeba być zwolennikiem silnych, współpracujących związków zawodowych w niemieckim stylu, żeby zrozumieć, że wzrost przychodów „dolnej

połowy” gospodarstw domowych ma ogromne znaczenie - nie tylko takie, że pomaga zachować odrobinę zwartości społecznej i politycznej. Tymczasem w Ameryce obowiązują zasady: żadnych podwyżek, ograniczanie świadczeń, a najlepiej, żeby ludzie w ogóle obywali się bez nich. Równocześnie gospodarka, z wyjątkiem kilku lat kryzysu, przeżywała ogromny wzrost, a jego owoce trafiały w coraz mniej liczne ręce.

Gdy rozwiewały się marzenia o choćby perspektywie stabilnego zatrudnienia i mieszkaniach, na które byłoby ludzi stać, w dolnej połowie gospodarstw domowych coraz bardziej brakowało nadziei. „Odwaga nadziei” świetnie nadawała się na tytuł książki Obamy i przyniosła mu mnóstwo pieniędzy. Kolejne rodziny, a potem wspólnoty, zaczęły wypadać z procesu politycznego.

To właśnie pelzająca rufyfikacja - a w realiach zachodniej demokracji recepta na katastrofę polityczną.

Jeżeli nie wierzycie w tezę o rufyfikacji, spójrzcie na fakty. To załamanie się klasy robotników i usługodawców znajduje bolesne odbicie w cięciach socjalnych budżetów stanowych, w malejącej średniej długości życia i w epidemii zażywania narkotyków, które w ubiegłym roku jako nowa główna przyczyna śmierci ludzi poniżej 50. roku życia zabiły więcej ludzi, niż zginęło w latach 70. w wypadkach samochodowych. Te trendy niesamowicie przypominają postsowieckie doświadczenia z narkotykami, alkoholem i depresją.

Ożywienie gospodarki nie sprawia, że dobrobyt przecieka na sam dół. Również siatki bezpieczeństwa się nie rozciągają, tylko wciąż kurczą. Nie dlatego, żeby brakowało środków. Po prostu wyborcy z dolnej połowy dochodowej w większości nie idą głosować, więc nie ma powodu w nich inwestować w przeciwieństwie do bogatych, którzy dosypują pieniądze sztabom wyborczym.

W dodatku załamanie się zaufania w klasie robotniczej wywołało wtórna falę. Niepokój rozpowszechnia się teraz wśród wyborców z klasy średniej, którzy potrafili zestawzić swój wzrost dochodów przed laty z obecnymi marnymi perspektywami i czują, że ich do-

**Zakonserwowana władza, bogacący się nieliczni oligarchowie, przestraszona klasa średnia i rzesze biedaków żyjących z dnia na dzień, bez zabezpieczeń, opieki, reprezentacji politycznej. Czy czegoś wam to nie przypomina?**



**STEPHAN RICHTER**  
- ur. w 1959 r.,  
redaktor  
naczelny  
serwisu  
The Globalist,  
wieloletni  
niemiecki  
korespondent  
w Waszyngtonie

tychczasowe powodzenie odchodzi w niepamięć.

A jeśli komuś mało, to mamy kolejny przykład rufyfikacji, choć podawany jako triumf - w ostatnich dekadach nastąpiło ogromne nagromadzenie bogactwa należącego do nielicznych. Innymi słowy, Ameryka dorobiła się klasy oligarchów.

Oczywiście są różnice. Rosyjscy oligarchowie zdobyli majątki, tanio przejmując poradzieckie aktywa, surowce i firmy. Amerykańscy wykorzystali fałę technologiczną. Ale jako inwestorzy drapieżcy, menedżerowie kapitałów i funduszy inwestycyjnych niewiele różnili się od rosyjskich kolegów: spektakularnie się bogacąc, często wykańczali ludzi i firmy, nie mówiąc już o uczestnictwie w skorumpowanych sieciach wykorzystujących poufne informacje.

Jakby tego było mało, nigdy od czasów Kennedy'ego - a zatem od ponad półwiecza - Stany Zjednoczone nie usiłowały zrównoważyć tej rażącej akumulacji, wprowadzając sprawiedliwe strategie podatkowe. Mało tego, starały się nie rozpowszechniać wiadomości o tym, co robią kraje, w których demokracja istnieje nie tylko z nazwy: opodatkowują sprawiedliwymi stawkami dziedziczone majątki, rachunki pro-

wadzone za granicą i zyski kapitałowe. Tak jakby klasa polityczna uznała, że wszelkie rzetelne i uczciwe porównania są dla niej niebezpieczne.

Różnica między Rosją a Ameryką polega na tym, że Rosjanie muszą osobiście dawać łapówki albo polegać na płatnych mordercach, żeby osiągać swoje cele, Amerykanie zaś nie muszą aktywnie przekupywać polityków, bo darrowizny na kampanie uchodzą za coś normalnego. Skutek jest podobny.

Slogan Trumpa „America First” jest jedynie skuteczną próbą zamaskowania materialnej sytuacji amerykańskiej „nomenklatury”, czyli 2-3 proc. najlepiej zarabiających. A jego antyestablishmentowe gromienie elit jest znanym skądinąd retorycznym narzędziem pozwalającym utrzymać w ryzach szerokie masy. Wysilki Trumpa, podejmowane przy milczącym przyzwoleniu clintonowskich Demokratów, mają odwrócić uwagę od rzeczywistych problemów, z jakimi zmagają się amerykański proletariatus.

Bo to jest proletariatus. Patrząc na poziom życia i zabezpieczeń w innych rozwiniętych krajach Zachodu, trudno tę grupę ludzi wykonujących ciężkie, nisko płatne prace, często przy dochodzie na granicy przeżycia, nazwać inaczej, niż sięgając po definicje z czasów rewolucji przemysłowej. Bo jak inaczej określić kogoś, kto jest pozbawiony skutecznych praw społecznych i politycznych, jakie gwarantują m.in. ubezpieczenia społeczne i zdrowotne czy płatne urlopy?

A najlepsze, że - znów kłania się rufyfikacja - ta sztuczka Trumpa działa: znaczna część Amerykanów, których obie partie wychowały tak, żeby nie mieli pojęcia o polityce, naprawdę wierzy w te brednie. Dla przynajmniej 36 proc. badanych to nie oligarchowie oraz politycy są winni temu, że klasa średnia i niższa nie mogą przeżyć swojego żywota w zdrowiu i szczęśliwie, ale dziennikarze i cudzoziemcy.

I nie ma żadnego politycznego naczynia, które przejęłoby te frustracje. Wciąż zdominowana przez Clintonów Partia Demokratyczna jawi się jedynie jako cieplejsza, bardziej puszysta odmiana Partii Republikańskiej. ●

PRZEL. ANDRZEJ EHRlich

Tekst dzięki uprzejmości The Globalist



**LISTY**

## Służyłem totalitarnemu państwu. Łapałem bandytów

Panowie Błaszczak i Zieliński zarówno w Sejmie, jak i podczas komisji sejmowych cynicznie klamali, że milicjanci nie będą podlegali tzw. ustawie dezubekizacyjnej. Ani jednego dnia nie służyłem w SB. Służyłem w Milicji Obywatelskiej, a potem na mocy ustawy stałem się policjantem. Nie podlegałem lustracji. Zawsze ścigałem przestępców, pospółtych i gospodarczych. Z polityką i zwalczaniem opozycji nie mia-

łem nic wspólnego. A jednak 5 czerwca otrzymałem z Zakładu Emerytalno-Rentowego MSW decyzję. Na podstawie tzw. ustawy dezubekizacyjnej zmniejszono mi emeryturę praktycznie o trzy czwarte za działanie niezgodne z prawem, służbę na rzecz totalitarnego państwa itp.

Ukarano mnie za studia w Akademii Spraw Wewnętrznych w okresie od 1 września 1989 r. do 31 sier-

nia 1990 r. IPN uznał te 11 miesięcy studiów już w wolnej Polsce, po wyborczym zwycięstwie „Solidarności” i wyborze Tadeusza Mazowieckiego na premiera, za służbę na rzecz totalitarnego państwa.

To niezgodne nawet z „ustawą” dezubekizacyjną, bo według art. 13b.1 pkt 5 „służyli totalitarnemu państwu”: (...) „także słuchacze i studenci, którzy przed skierowaniem do Akademii Spraw Wewnętrznych pełnili służbę, o której mowa w pkt 5 i 6 oraz ust. 2 pkt 1” - a więc w jednostkach podległych organom bezpieczeństwa. Tymczasem ja byłem inspektorem Sekcji Zabójstw i Rozbojów w Bydgoszczy.

IPN nie podjął próby weryfikacji, czy podlegałem pod ten artykuł.

Na moje uwagi pan z IPN stwierdził, że go to nie interesuje, wystarczy, że byłem studentem w ASW, a w myśl ustawy o IPN ASW należy do organów totalitarnego państwa. A pracownicy ZER MSW stwierdzili, że podejmują decyzję na podstawie informacji z IPN.

IPN i MSW, działając wspólnie i w porozumieniu, nie dopełnili obowiązków oraz przekroczyli swoje uprawnienia, co w konsekwencji doprowadziło do nieuprawnionego, złodziejskiego zaboru mojego mienia w postaci trzech czwartych emerytury przyznanej mi w 2012 roku.

Potraktowano mnie gorzej niż przestępców, których ścigałem, ponieważ oni na podstawie zebranych przeze mnie dowodów odbywali ka-

re pozbawienia wolności i mają liczone do emerytury po 0,7 proc. za rok. Mnie wyliczono 0,0 proc. I gorzej niż emerytowanego funkcjonariusza SS, któremu państwo niemieckie wypłaca emeryturę za okres II wojny światowej, ponieważ sąd nie był w stanie udowodnić mu winy.

Mój syn, który był dumny z taty policjanta, oświadczył, że kończy studia i wyjeżdża z Polski. Nie chce żyć w kraju, który w taki sposób - orzekanie winy i kary bez wyroku sądowego, odpowiedzialność zbiorowa itp. - traktuje swoich obywateli. Myślałem, że na starość będę miał pomoc i oparcie, jednak mu się nie dziwię. ●

Roman Brzuchalski